

Okolica mentalna

W rozmowach o sprawach regionalnych, o problemach, które znajomym w moim (średniawym) wieku i mnie samej wydają się całkiem istotne, a może nawet decydujące dla naszego obecnego i przyszłego życia – w tych rozmowach zabrakło mi pewnej nuty. Młodego głosu mi brakuje, nie dyskutuje o tym znana mi młodzież, bo w końcu o czym tu gadać? To nie te czasy, gdy przed wyprawą głowa rodu żegnała wędrowca na progu znakiem krzyża, aby strzegły go w (niebezpiecznej zwykle) podróży Instancje Najwyższe. Teraz nie tylko samo podróżowanie, ale i decyzja o zebraniu manatków i przeniesieniu się w przyjaźniejsze miejsce – stała się aktem łatwym i wykonalnym niemal natychmiast. Jakież to postępowanie, nie tylko w porównaniu z czasami feudalnej przynależności do swojej wsi i do jej właściciela, ale i w porównaniu do nie tak przecież zamierzchłych czasów, gdy przemieszczenie się do sąsiedniego województwa wymagało przepustki od podwładnych WRON-y, że o pamiętnym wieloletnim zabieraniu nam paszportów nie wspomnę.

Region – to słowo pochodzące od łacińskiego „regio” – okolica. Naprawdę nie poznałam nikogo, dla kogo jego okolica, światem oswojonym i najważniejszym byłoby coś, co nazywamy województwem lubuskim. Owszem, znam takich, dla których granice ich świata, ich codziennej rodzinno-zarobkowo-rekreacyjnej krzątaniny, leżą w odległości około 40 minut jazdy samochodem. W zasięgu takiej wyprawy jest i babcia z plackiem dla wnusiów, i kompleks handlowy, atrakcja typu basen, albo jezioro, najlepiej z jakimś stałym miejscem bywania, i może niechby była w pobliżu jeszcze jakaś kulturalna

atrakcja, aby było co pokazać gościom. Dzieje się jednak coś więcej, coraz to kolejni moi młodzi przyjaciele, osoby mądre, pracowite i dzielne, bez żadnych, ale to żadnych problemów ruszają w coraz dalszy świat, by go oswajać, zdobywać, albo włączyć mu w ..., jeśli tego wymagają okoliczności. Jest fajny kierunek studiów o trzy godziny jazdy pociągiem stąd? Nie ma sprawy, co to za odległość?! Dwudziestoparolatki, ale nie tylko, ustanowiły granicę naszych „okolic” w zupełnie nowych miejscach. Wygląda to jakoś tak: na południu, o rzut trochę większym beretem jest Wrocław, miasto nie tylko z zaliczonym w dzieciństwie zoo, ale i z setkami fajnych knajpek, z uczelniami na satysfakcjonującym poziomie, z imprezami kulturalnymi, że czasem od nich dech zapiera – i z dojazdem, który w miłym towarzystwie albo z niezłą książką trwa dosłownie moment; na wschód całkiem miłymi drogami mknie się do Poznania, tam tradycyjnie zakupy, sprawy mniej i bardziej ważne – jak choćby szpitale, w których leczy się sporo zielonogórszan, tam uczelnie i rozrywki, tam wszystko to, czego trzeba, by życie uczynić atrakcyjniejszym lub wygodniejszym; tam się jeździło po kanapę do Ikei i po książki do magisterki, bo Poznań jest w zasadzie „swój” od wielu lat, a po drodze do niego całkiem „swoje” – Babimost, Wolsztyn czy stacja Zbąszynek...

Z kolei na zachodzie dziwne zjawisko: wielki Berlin, od paru lat bliski i podręczny, jak stary sąsiad, tam i sklepy znajome, i knajpy, i zawodowo coś się może zdarzyć, jak człowiek ma szczęście, czasem można podjechać na jakąś wielką, muzyczną choćby imprezę, by światowego powietrza łyknąć w płuca. Berlińskie lotniska dla znanych mi podróżników to

miejsca bardziej oswojone niż Okęcie, zaś w centrach handlowych i rozrywkowych z hałasem przetaczają się polskie rodziny – a między tym a naszą lubuskością, dziwny pustawy pas, zaludniony przez Ostich, między których bezpardonowo wciskają się nasi młodzi, kupując mieszkania, otwierając biznesy, rodząc tam dzieci i opiekując się starszankami. Tak po sąsiedzku, normalnie. Wreszcie.

Po okolicy się krąży, okolicę się zna, mając w odwodzie szybki powrót do domu. Wygląda się przez okno, sprawdzając, czy na horyzoncie wszystko w porządku, lubi się, mniej lub bardziej te już oswojone widoki, dba się, by nikt ich nie „uszkodził”, naruszył, wybiega się, by sprawdzić, czy czasem nie jesteśmy tam potrzebni... Dlaczego więc dla przeciętnego znanego mi „południowego Lubuszanina” jego serdeczny, mentalny region kończy się gdzieś w okolicy międzyrzeckich bunkrów? Potem następuje jakby inny wymiar, albo – sięgając po poetykę *Władcy pierścieni* – potem wkraczamy na teren Mordoru... Nie ja, nie mam takich zadr w sercu, a widok z obwodnicy Gorzowa i wizyta w ich Pizza Hut to całkiem mi miłe skojarzenia z tym miastem, że o paru „krewnych i znajomych” do odwiedzania nie wspomnę.

Może to podobieństwo tak nas z tą częścią regionu antagonizują? Może te same potrzeby, te same kompleksy i te same trupy w szafach sprawiają, że kochać, to my się Kochamy, bo tak wypada, ale niech tylko tamtym coś się lepiej uda, to zaraz ogłosimy światu, dlaczego im się tak udaje: na krzywdzie brata bliźniaka, na krwawicy! Kasia Nosowska napisała kiedyś piosenkę o bliźniętach syjamskich, dawno to było, ale pamiętam refren: „Nie lubię goooooo!”, a w zwrotkach było o skazaniu na życie w jednym organizmie z kimś, kto oddech ma niefajny i w ogóle. To powinien być hymn naszego regionu – tak sobie czasem myślę.

Zdarza mi się dość zaciekle dyskutować o problemach okolicznych, albo z koleżeństwem z redakcji, albo z artystami, którzy jak zwykle szukają nowych marzeń i rozwiązań, albo z rodziną, gdy ktoś z nas rozgląda się za nowym miejscem do życia. Ale nie

rozmawiam o tym z moimi młodymi przyjaciółmi, bo oni zwyczajnie nie mają takiej potrzeby, Ich okolica jest dla nich naprawdę w porządku, nie musi się pokrywać z „regio” wyznaczonym przez kogokolwiek, a już najmniej przez polityków. To okolica mentalna, teren, z którym mają wspólne sprawy. Jedyną znaną mi osobą, która chyba nie ma jeszcze trzech krzyżyków, a o problemy regionalne potrafi się zdrowo pomartwić, jest Adam Fularz, ale wyjątek tutaj chyba potwierdza regułę. Patrzą na mnie dwudziestolatki wielkimi oczami, gdy tematy regionalne poruszam, i nie wiedzą, o co mi chodzi. Przecież z perspektywy trzeciego roku medycyny albo pracy w międzynarodowej korporacji nasze szarpanko o to, kto ma gmach taki a taki, albo skąd panowie redaktorzy będą wyjeżdżać, by kręcić swoje, nie obchodzące właściwie 80% Lubuszan, „dwumiestowe” newsy, wyglądają jak pojedynek Kargula z Pawlakiem, tak samo poważnie i tak samo „zachęcająco”. Po co tu wracać? Można przecież w ciągu dwóch, trzech godzin przenieść się do innego świata, i nie przyznawać się nawet nowym „ziomkom”, że to, z czego śmieje się kolejny serial, to nasze rodzinne miasto...

Nie wiem, co zrobić z tą wiedzą, i nie mam przekonania, czy nasze pokolenie potrafi z tym wszystkim coś sensownego zrobić. Może lepiej niech miłośnicy historii nadal zbierają każdą skorupę, przywracającą ich ukochanemu miasteczku przeszłość, a co za tym idzie – spokojne pogodzenie się tubylców ze swoją tubylczością, niech politycy kolejne garnitury zębów zjadają na wojenkach o każdy metr obcego asfaltu i każdą „skradzioną” jego okręgowi wyborczemu złotówkę, niech wyjedzie, kto ma wyjechać, niech urodzą się ci, co mają się urodzić... Czy pogodzimy się z tym, że dziś region to tylko mały element ...globalności? Dorośnijmy do tego, może wtedy zacznie nam przechodzić przez gardło promowane onegdaj – czy daremnie? – przez redakcję „PULS-u” nowe miano dawnego „regionu” – mała ojczyzna. A jak już zaczniemy o tym tak mówić, to może i tak poczujemy?